

ANNA M. KOMORNICKA  
(Warszawa)

## WSPOMNIENIE O JANIE PARANDOWSKIM

Moi młodzi koledzy z redakcji „Meandra” proponują mi, bym napisała wspomnienia. To prawda, że jako stary człowiek wiele przeżyłam tragedii i radości, doświadczyłam szczęścia i utraty najbliższych, poznałam wielu wyjątkowych ludzi, wobec których mam ogromne długi wdzięczności, nawiązałam trwałe przyjaźnie, które dały mi oparcie w ciężkich chwilach. Mam więc materiał – ilościowy i jakościowy. Problem w tym, że już nieraz różne „memuary” na prośbę wydawnictw publikowałam<sup>1</sup>. Jest tam mowa o moich studiach, pracach badawczych, o mych mistrzach i profesorach – i również o mych studentach i działalności dydaktyczno-pedagogicznej.

Rzekomo *repetita iuvant*, a sięgając do Platona – καλὸν [...] τὸ γε ὀρθὸν καὶ δίκαιον καὶ τρίς<sup>2</sup>. Podejrzewam, że na to hasło powołują się niepoprawni, miodouści gawędziarze, a nie ich odbiorcy. „Znacie? No, to posłuchajcie!”

Chciałabym tego uniknąć. Nie wspomnę już o elogiach na moją cześć pisanych przez moich ukochanych uczniów na różne jubileusze czy do książki pamiątkowej<sup>3</sup>.

À propos, ciśnie mi się pod pióro scenka z dzieciństwa i poczciwo-kpiarska uwaga starego leśniczego przy ognisku w lesie po zimowym polowaniu. Pan Słoneczny, słuchając przechwałek myśliwych o setkach ubitych kiedyś dzików, kozłów i lisów, siedział na pieńku z boku i mruczał pod nosem: „Połowę. Połowę”.

Wniosek: muszę napisać coś nowego.

Wprowadzenie. Od małej dziewczynki miałam wrodzony podziw dla sławnych ludzi. Nie było to jakieś mizdrzenie się czy snobizm, by potem wynosić się wobec

---

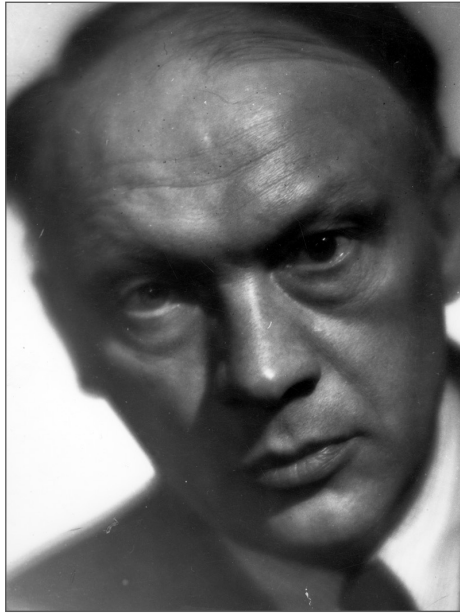
<sup>1</sup> *Moja przygoda z filologią klasyczną*, Meander 52, 1997, s. 15–21; *UJ za dwoma nawrotami*, Alma Mater 25, 2000, s. 37–39 oraz 27, 2001, s. 31–33; *Tadeusz Sinko (1877–1966)*, [w:] „*Magistri et discipuli*”. *Kapitel zur Geschichte der Altertumswissenschaften im 20. Jahrhundert*, oprac. W. Appel, Wydawnictwo UMK, Toruń 2002 (Xenia Toruniensia 7), s. 7–17; *Wspomnienia z czasów wojny. Lwów, zima 1939/40*, Cracovia – Leopoldis, 2009, nr 3 (59), s. 28–30; *Wspomnienie o Tadeuszu Since*, Meander 64–67, 2009–2012, s. 327–329.

<sup>2</sup> Plat. *Leg.* XII 956 e. Por. ibid. VI 754 c: δίκαιον [...] τὸ γε καλὸν ῥηθὲν οὐδὲν βλάπτει, id., *Gorg.* 498 e: καὶ δίκαιον γὰρ τοὶ καὶ τρίς φασὶ καλὸν εἶναι τὰ καλὰ λέγειν τε καὶ ἐπισκοπεῖσθαι, i Empedocle., fr. 25 Diels-Kranz: καὶ δίκαιον γὰρ, ὃ δὲ καλὸν ἐστὶν ἐπισπεῖν.

<sup>3</sup> Por. *Collectanea Philologica* 2 (*In honorem Annae Mariae Komornicka*), 1995; *Profesor Anna Maria Komornicka*, oprac. J. Czerwińska, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 2003 (Sylwetki łódzkich uczonych 71); J. Czerwińska, *Z Grzymałowa w świat antyku*, Cracovia – Leopoldis, 2005, nr 3 (43), s. 2–5, 51; teksty okolicznościowe w: Meander 63, 2008, s. 3–25.

otoczenia mymi koneksjami. Nie. Zawsze mierzył mnie i śmieszył wszelki *name-dropper*, popisujący się zażyłością z osobami z pierwszych stron gazet. Do późnych, dojrzałych lat zachowałam nastawienie nieśmiałej pensjonarki zachwyconej, że poznała wielkiego uczonego, pisarza, poetę czy artystę (takiego jak na przykład genialny Salvatore Quasimodo, noblista – list „mam dotąd w biurku”).

Tym razem będzie mowa o Janie Parandowskim.



Jan Parandowski.

© Narodowe Archiwum Cyfrowe

Zacznę *ab ovo*, choć mój inny ulubiony pisarz Kurt Tucholsky mawiał – „nie zaczynaj nigdy od początku, lecz co najmniej trzy mile przed początkiem”<sup>4</sup>.

Po pobycie naukowym (stypendium włoskie) w Urbino w drugiej połowie lat pięćdziesiątych minionego wieku postanowiłam spędzić dwa tygodnie w Rzymie, który znałam przelotnie z miesięcznej wycieczki-pielgrzymki tuż przed wojną. Mój kuzyn Janek Serwatowski, przedstawiciel Polski w FAO<sup>5</sup>, przez kolegę, włoskiego prawnika tej instytucji, dowiedział się, że jego matka najchętniej mnie ugości. Antonietta Ricard, z domu Sas-Kulczycka, Polka, była unikalną postacią („un capolavoro” – „arcydzieło”, jak ją nazwał profesor Bruno Gentili). Błyskotliwie inteligentna, ognisty temperament, ta czcigodna dama parę lat studiowała na UJ, miała wszechstronne zainteresowania i kochała Polaków. Jej ojciech był tak żarli-

<sup>4</sup> Kurt Tucholsky, *Rady dla złego mówcy*, [w:] id., *Księga pięciu szyderców*, oprac. A. Marianowicz, przeł. J. Frühling i in., Czytelnik, Warszawa 1955, s. 43.

<sup>5</sup> Food and Agriculture Organization of the United Nations.

wym miłośnikiem antyku, że drugą córkę nazwał Lalage, dla uczczenia Horacego<sup>6</sup>. Państwo Ricard żyli wygodnie w domu przy ulicy Marco Aurelio, koło Koloseum, ze starą służącą Angeliką.

*Ad rem.* W jednej z długich pogawędek z panią domu – po francusku lub w moim chwiejnym włoskim – Antonietta spytała mnie, czy mogłabym poprosić Jana Parandowskiego o pozwolenie na przetłumaczenie na włoski któregoś z jego szkiców czy opowiadań. Byłam zaszokowana. Za wysokie progi! Ale... to w końcu mój ulubiony pisarz, a przy tym jakież znawca starożytności! Mam wszystkie jego książki! Ten karkołomny pomysł może nie był nierealny. Wiedziałam, że mój promotor doktoratu profesor Kazimierz Kumaniecki przyjaźni się z państwem Parandowskimi...

Za wskazówką profesora jadę z duszą na ramieniu do Obór, gdzie ludzie pióra spędzają wakacje, odpoczywają lub pracują w wiejskiej ciszy. Jan Parandowski przyjął mnie miło i po prostu – gdy tylko się powołałam na mego mistrza:

– Chętnie oderwę się od pisaniny. Chodźmy na spacer, pogoda świetna.

Wyłuszczyłam mu sprawę Antonietty. Zgodził się od razu, poszuka odpowiedniego tekstu, dotąd nie tłumaczonego na włoski. Spacer się przedłuża – pamiętam łąkę, drzewa – żadnego ruchu. Pyta mnie o moje pasje filologiczne – wtedy niepodzielnie u mnie królował Arystofanes – i o moje wrażenia z Rzymu. Przy tej okazji opowiedział mi następującą historię. Mimo żelaznej kurtyny udało mu się jako prezesowi polskiego PEN Clubu wyjechać do USA na międzynarodowy zjazd. Tam na uroczystym przyjęciu – gala jak z bajki – siedząc koło młodej upierścienionej Amerykanki, która właśnie wróciła z pierwszej podróży do Europy i ekscytuje się Rzymem, zadał jej to samo pytanie, co mnie:

– Co się pani w Rzymie najbardziej spodobało?

Trzepocze rzęsami, zastanawia się chwilę i nagle wykrzykuje z rozanieloną twarzą:

– Tak, oczywiście. Wiem. To ta słodka wilczyca, która karmi *Romeo and Juliet*.

Parandowski cytuje mi to zdanie po amerykańsku – jak toczyła się rozmowa przy stole – ze specjalną patetyczną afektacją.

Zaczyna się robić chłodno. Wracamy. Otulam się szczelniej płaszczem i mówię:

– Wie pan, w takim momencie – wspomnienie z dzieciństwa – zawsze brzmi mi w uszach powiedzenie starego strzelca mego dziadka. Teodor Gnatyk mawiał z natchnioną miną: „Wieje wiatr od oceanu”.

– Niemożliwe! – Parandowski stanął jak wryty.

– Co? Dlaczego? – pytam przerażona, że popełniłam jakąś gafę.

– To zabawne! Gdy byłem mały, miałem starą ciotkę, która panicznie bała się przeciągów. Jak tylko skądś wiało, mówiła: „Wieje wiatr od oceanu”.

Śmiałyśmy się oboje, a ja dodałam, że u nas na Podolu z galicyjska na przeciąg mówiono *zug* (czytaj „cug”).

– Oczywiście, słynne *zugi*.

<sup>6</sup> Por. Hor. *Carm.* I 22.

Był najwyższy czas, by się pożegnać – ale mój rozmówca nie chciał o tym słyszeć.

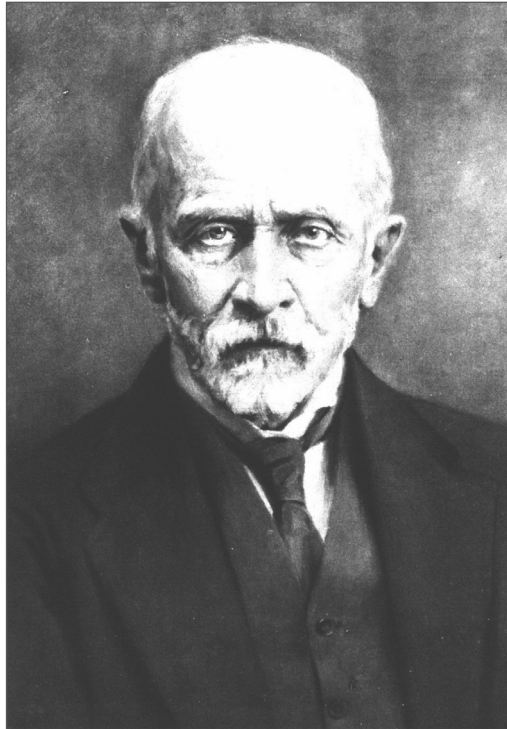
– Teraz wypijemy herbatę. Dzisiejsze popołudnie musi mi pani poświęcić.

– A pana twórczość? A czytelnicy?

– Jakoś to przebolejemy.

Usiedliśmy w salonie przy jednym ze stolików. Nabrałam już śmiałości.

– Miałabym, jeśli można, jedno pytanie. – Spojrzał uważnie. – Otóż w *Zegarze słonecznym* wspomina pan w Ogrodzie Jezuickim we Lwowie „niewysokiego pana z bródką”, którego pański kolega powitał, tytułując go ekscelencją, i obaj (maturzyści) „śledziliście niepokażną postać dostojnika, który za chwilę znikł w zamczystych drzwiach swego pałacu”<sup>7</sup>.



Portret Leona Pinińskiego pędzla Kazimierza Pochwałskiego (1928)

– Ale pani ma pamięć! To był Leon Piniński, profesor prawa rzymskiego na UJK, rektor, namiestnik Galicji na przełomie wieków (stąd ekscelencja) – ale przede wszystkim kolekcjoner, mecenas sztuki... Ale co panią z nim łączyło?

<sup>7</sup> Jan Parandowski, *Lawki*, [w:] id., *Zegar słoneczny*, [w:] id., *Dziela wybrane*, t. II, Warszawa 1957, s. 718.

– Był bratem mego dziadka Stanisława, którego już nie znałam – tak zwanym „zimnym dziadkiem” oraz mym ojcem chrzestnym. Żył długo, umarł krótko przed wojną<sup>8</sup>, ostatni z czterech braci. Mama była jedynaczką, więc Leon, bezdzietny wdowiec, kochał mamę jak córkę – była jego oczkiem w głowie.

– Proszę mówić dalej. Pana Leona – choć był dużo starszy – później dobrze poznałem. Zwłaszcza w Italii. Ale o tym potem.

– Otóż przyjeżdżając dwa, trzy razy w roku ze wsi do Lwowa – rodzice mieszkali na Podolu, województwo tarnopolskie – głównie do dentysty i okulisty – odwiedzaliśmy obowiązkowo liczne stare ciotki – ale „stryj Leon” (tak go nazywała mama – i my czworo za nią) był na pierwszym miejscu. Pan pisze jako młody licealista o „pałacu” stryja. Nie była to kamienica czynszowa, ale willa z malutkim ogródkiem – może rezydencja – przy Matejki 4, koło ulic Technicznej [gdzie mieszkaliśmy u mojej babki będąc we Lwowie] i ulicy Badenich – gdzie też były ukochane kuzynki, z którymi bawiliśmy się w Ogrodzie Jezuickim. Ale wizyta u stryja Leona była jeszcze na tyle wyjątkowa, że trzeba było szalenie uważać, by czegoś nie potracić, nie stłuc, nie przewrócić. Całe wnętrze domu było jak muzeum – same drogocenne zabytki. Notabene stryj w testamencie zapisał go w tym stanie Państwowym Zbiorom Sztuki we Lwowie (około 600 eksponatów).

– A na Wawelu jest sala portretów malarzy angielskich i włoskich ofiarowanych przez profesora – wtrącił Parandowski. – A teraz ja pani coś opowiem, czego na pewno pani nie wie.

– Zamieniam się w słuch.

– Spotkaliśmy się przypadkiem w Rzymie – w sklepie z antykami. Zawsze i jego, i mnie kusily piękne rzeczy. A nuż coś się odkryje... Obeszliśmy całe zatłoczone pomieszczenie, przyglądając się obrazom, litografiom, drzeworytom i zabytkowym meblom. Właściciel, ognisty Włoch, skakał i tańczył koło nas, zachwalając unikalność każdego przedmiotu, uradowany, że może mówić we własnym języku z cudzoziemcami. Dobrze znałem Włochów i wiedziałem, jak się w takich okazjach z nimi obchodzić. Widzę, że Piniński zainteresował się starą drewnianą skrzynią stojącą w kącie. Ostentacyjnie odciągnąłem go za rękaw, zwracając jego uwagę na jakąś klasyczną ramę i dając mu znak, by mnie naśladował. Skierowaliśmy się ku wyjściu. Tuż przy drzwiach od niechcenia dotknąłem laską skrzyni, pytając Włocha: „A ta ława czy skrzynia?”. Włoch pogodzony już z myślą, że nic nie kupimy, coś bąknął, podając niską cenę. Piniński doskonale odegrał swą rolę. Na odczepnego bliżej przyjrzał się meblowi, pogładził rzeźbione wieko, strzepując kurz z rąk: „Wezmę tę skrzynię, jeśli mi pan trochę opuści, bo widać już tu długo zalega”. Targ w targ i w finale skrzynia powędrowała do Lwowa.

<sup>8</sup> Leon Piniński żył w latach 1857–1938.



Dom Leona Pinińskiego przy ul. Matejki 4 we Lwowie



Salon domu Leona Pinińskiego



Leon Piniński na dziedzińcu Pałacu Dożów w Wenecji

Tak wyglądało moje niezapomniane pierwsze spotkanie z wielkim człowiekiem.

Drugie i ostatnie miało miejsce w Warszawie (około roku 1961 – ale moja pamięć dat jest bardzo chybotałiwa), na oficjalnym jubileuszu ku czci Jana Parandowskiego. Chyba w Domu Literatów przy placu Zamkowym. Profesor Kumaniecki miał zaproszenie na dwie osoby. Pani Halina nie mogła pójść – więc zaplanował, bym mu towarzyszyła. Mowę inauguracyjną trzyma wielki guru Jarosław Iwaszkiewicz. Po powitaniu obecnych zwraca się z patetyczną inwokacją:

– Nie każdemu z naszego literackiego grona, drogi Janie, zegar słoneczny wybijał tak beztrudnie godziny dzieciństwa, zabezpieczony byt, szkołę bez kłopotów o jutro. Nie każdy maturzysta mógł się stać królem życia. Inni koledzy musieli pracować nocami, dawać korepetycje, by móc studiować, i często-gęsto głodowali...

Nie pamiętam dalszego ciągu – tak byłam zbulwersowana. Pewnie były i wyszukane komplementy. Nie wiem. Nie zachowały mi się również szczegóły z odpowiedzi jubilata. Pamiętam, że była godna, skromna, z humorem. Zignorował całkowicie

„sztuczny miód i naturalny jad”<sup>9</sup> swego przedmówcy. Taką klasę mieli oboje – Jan i Irena Parandowscy. W książce *Dzień Jana* pani Parandowska najmiej mówi o Hani i Jarosławie. Ale ona o nikim źle nie pisze.

#### ARGUMENTUM

*Auctrix, Universitatis Lodziensis profestrix Graecis litteris dedita, narrat de suis colloquiis cum Ioanne Parandowski, scriptore Polono antiquitatisque cultore, habitis.*

---

<sup>9</sup> Tadeusz Sinko tak charakteryzował w swych wykładach historyka Teopompa z Chios z IV wieku przed Chr.